

Numer idzie w świat...

Jeszcze o naszej pracy

Pierwsze piętro, gdzie jest redakcja, łączy z zecernią na dole mała winda, którą zjeżdżają na drewnianej platformie rękopisy, długie zabazgrane zwoje w dwuczłonowych, poklejonych kawałkach.

Na dole chwytają je w swoje ręce p. Pietura. Zapisane arkusze rozdziela linotypistom. Małe znaczki, skreślone na krawędziach papierowych tasemców, niezrozumiałe i dziwne dla przeciętnego czytelnika, oznaczają, wiadomo: burgos, petit, kursywa.

Linotypiści

Linotypiści siedzą przy maszynach. Światło lampek pada prosto na ich ręce. Grube, kanciaste palce biegają po klawiszach z literami tak prędko, jak smukłe palce eleganckich maszynistek z redakcji po „Underwoodach”. Po nad klawiaturą liter, jak nuty, leży przymocowany rękopis. Linotypiści zjeżdżają po zeberkach i składają się w wiersze. Z góry, z nad głowy spada ciężka żelazna łapa maszyny i porwuje słowa. Linotypiści, którzy z swoich otworów polka czcionki, po tym wypływa z metalowego żołądka, bulgocącego ołowiem, gorący, srebrzysty wiersz — złożony, gotowy.

Linotypiści wysilają oczy nad rękopisami. Chudy „pan Jas” w binoklasi składa właśnie jakieś niebawale bagroły.

— Cholera jasna, co ten znów napisał! — klnie spokojnie dystygnowanym tonem i przeciera kilka razy bolące powieki.

— Jak już znamy dobrze piśmo — tłumaczy mi się — to się odczytuje łatwo wszystko, ale takiego co pisze niedawno i jedno na drugim, bardzo wolno się składa.

— Charaktery poznajecie już dobrze — Z redakcji wszystkich pozna my. Przed zecerem nie ma żadnej tajemnicy, ani kto powieść pisze, ani kto jaki artykuł napisał, choćby się podpisywał codziennie innym nazwiskiem. Nawet charakter „korespondentów własnych” z zagranicy są nam dobrze znane. Zecer ma takie oko, że pozna każde piśmo po latach „ABC” przeszło do nowej redakcji, od razu poznaliśmy, kto pisał pierwszy wstępny, bo dawniej to piśmo przychodziło do zecerni.

— Czy panowie interesują się treścią składanych artykułów? — Zanim numer dojdzie do rąk czytelników, ba, zanim nawet złożoną szpalte zobaczy korektorka i redakcja, czytamy go przede wszystkim my — zecerzy, skarbnicy najświeższych wiadomości, „gorących” jeszcze artykułów i ostatnich depesz z całego świata.

Korekta

Niepokalanie czyste ołowiane szpalte złożonych artykułów, przeszyte przelazą farbą. Zadrutowane długie kartki, pierwsze oddbitki, idą do korekt. Po tym wracają do drukarni, gdzie poznane tajemnymi znakami. Zecer — korektorzy odczytują czterwone zrygane na oddbitce i wyławia z leżących na stole złożonych artykułów, małe kawałki ołowiu — wiersze, które trzeba poprawić. Raz jeszcze przepatruje linotyp. Tytuły — wielkie, krzyżące tytuły, układa tytułarz. Zna doskonale efekt, jaki na zadrutowanych stronach sprawia wielkość tytułowych liter.

Drukarnia — powiada nam — to nie tylko moczca i pełna zatrutych osadów ołowiu na dziesiątach pracy, ale także sztuka. Czerni zadrutowanych piaszczyn i białe miejsca — „światła”, zestawienie wierszy i graficzne ułożenie tytułu, to rzeczywiście sztuka — pomyślałem sobie. Dlatego używa się w drukarni określenia: „łowarzysztuki drukarskiej”.

„Ogłoszeniowy” p. Lange, o białej twarzy, głowi się nad układem naderwany ogłoszeń.

— Ogłoszenie — powiada fachowiec — musi „łapać klienta” — i jak rybak wędkę przygotowuje drobny metalowy skład tak, aby oddbite litery i słowa złożyły wzrok czytelników.

Numer się łamie

Numer się łamie! P. Pietura — metampaz ma w tej chwili najważniejszy głos. Jego nieduża ruchliwa postać, przemienia szybko korytarzem redakcyjnym. Czarną głowę, z nie-

skazitelną gładką fryzurą, bez obawy wsuwa przez uchylone drzwi do pokoju naczelnego:

— Panie redaktorze, brak materiału na drugiej kolumnie, na pierwszej za dużo.

Panu Pieturze w takiej chwili muszą ustąpić miejsca w pokoju naczelnego wszyscy sprawozdawcy i interesanci.

Na metalowym stole leży rozpoczęta kolumna. Pulchne ręce p. Pietury, czarne od farby, chwytają wiersze, szpalty i artykuły i załadowuje szafkę, jak skrętna gospodyni swój koszyk: cały „towar”, który musi jutro wyjść na rynek. Dobrotliwy, spokojny uśmiech nie schodzi z jego różowej gładkiej twarzy, nawet wtedy, gdy całe konsylium redakcyjne niweczy mu porządek z trudem ułożonej kolumny.

„Chochlik drukarski”

Czasem, gdy na świecie lub w mieście dzieją się gdzieś z wieczora lub w nocy rzeczy nadzwyczajne, numer zaczyna się spóźniać. Z góry, z redakcji spadają nowe pasma komunikatów i pisanych w ostatniej chwili artykułów. Wtedy po całej zecerni tańczyć zaczyna złośliwy chochlik drukarski. Wylazi z kątów i płacze się między palcami linotypistów, psoci metampazowi, przekręca wiersze na kolumnie, przesłania oczy korektorce. Kiedyś, gdy weszliśmy nocą do zecerni, zdawało nam się, że między ustawionymi rzędem linotypów i szafkami pełnymi kaset, uwiła się przysłowiowy chochlik. Niecnota zasiadł później przy stoliku, gdzie zwykle urzęduje korektorka i tak, jak ona, z większym od siebie ołówkiem, jął wyrzucać z gotowej szpalty litery, słowa, całe zdania. Ale dajmy spokój chochlikowi.

Nasza korektorka dzielnie walczy z tym psotnikiem, chociaż czasem oczy zmęczone odczytywaniem długich tasów — oddbitki przeoczą tu i ówdzie jakiś błąd.

W g'serni

Złożona kolumna idzie pod prasę. Majster z frywolnym uśmiechem na doborodusznej twarzy klepie prasę, swoją „pocztową babę”, której wierny już jest blisko 20 lat. Miękką tekturową matrycą z pod prasą idzie do giserni. Tu na terkoczącej jak młynce suszarce — suszy się. Po wysuszeniu chwytają buchające żarem maszyny, wokół której klebi się ołowiana para, rozsuwając swą trucizną na całą gisernię, zecerem i hałę drukarską. Trysną ołów, spłynął po olbrzymim walcu i skrzepł. Gardziel maszyny wyrzuca gotową, lśniącą płytę. Jeszcze ostatnie pociągnięcie na obrabiacie, wycięcie miejsc, które czarna niekształtna plama odbić się mogły na stronach gazety, wióry srebrnego metalu, przyskające w twarz gisera — i płyta jest już gotowa.

Numer gotów

Numer gotów! Rusza wreszcie maszyna rotacyjna. Wypełnia sobą wielką halę, egzegując aż po szklane dachy. Od jej głuchego huku drży cały dom. Snują się przez walce pasma białego papieru, zębate tryby, śruby i wielkie koła pracują w hałaśliwej harmonii. Maszynista trzyma rękę na korbie motoru, w dłoni brak środkowego palca, unosi tę dłoń do góry i mówi, śmiejąc się:

— To pamiętki po maszynie. Wygrzyła mi, chciała spróbować swoich zębów.

Na balkonie maszyny pracuje mechanik z olbrzymich kałamarzy spływa po niezliczonych walcach czarna farba. Białe pasma papieru zadrutowują się, słowa mnożą się w setki, tysiące. Lej na dole chwytają czarne od liter strony, tną je i składa. Śmieszna, automatyczna mała łapka odlicza numery. Każdą pięćdziesiątkę wyrzuca na zewnątrz maszyny.

Dyrektor i praciuk

Przy wejściu do drukarni w małym pokoiku urzęduje jej dyrektor, zwany popularnie przez personel „ojciec”. — Tu na małym stoliku, lądują po skończonej pracy protokoły zdawczo - odbiorcze, stwierdzające o której godzinie ostatnią kolumnę oddano do giserni.

Ekspedycja

Przez okienko odliczone numery idą do ekspedycji. P. Kura przerywa w ręku drut jak słabą nitkę i pakuje paczki.

Nocą numer unoszą w świat pociągi, pędzące we wszystkie strony kraju.

Gdzieś nad ranem, koło godziny 8-jej, zaludniać się zaczyna ekspedycyjna hala. Schodzą się stare gazetarki, zakutane w ciężkie, grube chustki, czapiące buciaskami, podchodzą do ławek, na których zajmują miejsca. Wszystkie gadają bez przerwy. P. Spuś, kierownik ekspedycji, napróżno usiłuje je uspokoić. „Ciocia”, największa terkotka, też nad jego uchem wiedzie sensacyjną opowieść o krwawym morderstwie na Woli. A potem

zabierają wszystkie pod pachę setki numerów, które roznoszą po centrum i najodleglejszych stronach miasta. Do tych gazet same nie zaglądają, żyjąc własnymi wiadomościami, własną „gadana gazetą”.

A potem podwórze zapelnia się rojem najmłodszej gazetowej braci. Majdaniarze — „legion ulicy” na swoich rozbieganych stalowych rowerach porwują paki gazet i wiozą je na miasto do wszystkich punktów rozdzielczych.

A wreszcie numer dochodzi rąk waszych. Czytelnicy, otwieracie go i mówią do was nasze słowa... i białe plamy.

M. S. R. i W. V.

Kazimierz Janowski

Czcigodne pamiętki

Wojsko Polskie 1830-31 r. według starych sztychów

dowska.

Krzysztof Dietrich

Jak wspomnieliśmy, wykonywanie sztychów przypisywane jest wyłącznie pracy znakomitego rytownika Fryderyka Krzysztofa Dietricha.

Położenie podpisu przez znakomitego rytownika swego nazwiska na niektórych planszach cyklu stało się, oczywiście, powodem przypisywania temu artyście całości pracy zarówno w rysunku, jak i w rycie.

Tymczasem posiadany przeze mnie egzemplarz odsłania tajemnicę zorganizowanej pracy kilku artystów, o czym dotychczas nie wiedzieliśmy.

Na odwrocie każdej planszy zanotowano mianowicie nazwisko artysty, który wykonał jej rysunek. Na planszach Nr. 1, 4, 9, 18 figuruje nazwisko Józefa Richtera (Józef Rychter rys.), na planszy zaś Nr. 12 — z Lewickiego — Rychter.

Nie było jakie nazwisko. Świętym pejzażyście, Richter urodził się w r. 1780 w Dreźnie i tam kształcił się w szkole Zingera. Pracował na dworze księcia Czartoryskich w Puławach i Sieniawie; od r. 1820 zajmował stanowisko nauczyciela w Księżym Pijarów na Żoliborzu; zmarł w r. 1837 w Warszawie.

Jan Lewicki

Jan Lewicki, rysownik i sztycharz, ur. w 1802 r. w Krakowie, po rewolucji emigrował do Francji i Hiszpanii, gdzie jako sztycharz map pracował w ministerstwie wojny.

Następne pięć plansz (Nr. Nr. 22, 27, 29, 30), znaczonych jest nazwiskiem J. Głowackiego (Jana

Nepomucena).

Wzięty malarz krakowski, ur. w 1802 r., kształcił się i pracował tamże. Rysunki jego w cyklu W. P. są bardzo charakterystyczne, jak postać bernardyna na koniu, prowadzącego z krzyżem w ręku pułk mazurek, jak zwłaszcza typy żydowskie rajujące na ulicy grupy gwardii miejskiej, lub żydowskiej straży bezpieczeństwa, w chałatach, albo chłopów, „antyków” warszawskich i żydów, pełniących obowiązki straży bezpieczeństwa „w cywilu”.

Plansza Nr. 19 nosi dwa nazwiska: Głowacki i Dietrich; pierwszy z nich zapewne ją rysował, a drugi rytował. Szczęśliwie planszy Nr. 10, 11, 13, 18, 20 i 23 sygnowane są nazwiskiem F. Dietricha, przyczem na planszy Nr. 10 dodano w nawiasie: „ojciec”.

Jan Feliks Piwarski

Nie mniej świetnym współtwórcą cyklu Wojska Polskiego był znakomity twórca „Kramu Malowniczego”, rysownik i rytownik zarazem, Jan Feliks Piwarski, urodzony w r. 1794 w Lubelsku, zmarły w 1859 r. w Warszawie. Był profesorem sztuk pięknych, konserwatorem gabinetu rycin przy bibliotece publicznej, doskonałym znawcą dystryktów wojskowych. Nazwiskiem jego znaczona są plansze Nr. Nr. 2, 3, 14, 16, 25, 26.

Plansze Nr. Nr. 14 i 15 oznaczone są dwoma nazwiskami: Piwarski i Dietrich.

Na planszy Nr. 26 (Artyllerya Gwardii Narodowej), przedstawiającej grupę: oficera, podoficera i żołnierza, po nazwisku Piwarskiego dodano w nawiasie: „pośrodku”. Być może, iż jest to

noją, chcąc w ten sposób przeprosić szczury. Wytrebowano specjalnie psy do łowienia gryzoniów, zarządzono masowe zakładanie trucizny. Wszystkie te środki okazały się daremne. Zrozpaczeni mieszkańcy, którym dokuczliwe stworzenia nie dawały chwili pokoju, wyłonili specjalny komitet, który wszedł w porozumienie z jedną z fabryk gazów trujących.

W najbliższych dniach zarządzony będzie w Dniepropetrowsku alarm gazowy. Na znak dany przez syreny fabryczne, wszyscy mieszkańcy miasta muszą się wyprowadzić na 48 godzin do namiotów, znajdujących się pod miastem. Dniepropetrowsk będzie zagazowany. Zobaczymy jak to zniosą szczury.

W najbliższych dniach zarządzony będzie w Dniepropetrowsku alarm gazowy. Na znak dany przez syreny fabryczne, wszyscy mieszkańcy miasta muszą się wyprowadzić na 48 godzin do namiotów, znajdujących się pod miastem. Dniepropetrowsk będzie zagazowany. Zobaczymy jak to zniosą szczury.

Odbitki z matryc robione były w zakładzie Dal - Trozzo w Warszawie.

Ostatnia wreszcie z posiadanych przeze mnie plansz (Nr. 5) „Wolny Strzelec pieszy” zaopatrzona jest w napis: „Ferd. Chotomski rys.”. Plansza ta stanowi piękny i malowniczy obrazek.

Plejada najwybitniejszych artystów

Jak widzimy, wydawnictwo „Wojska Polskiego” było pracą zbiorową plejady najwybitniejszych artystów, malarzy, rysowników i rytowników, ludzi o wysokim wykształceniu i wybitnej wiedzy fachowej i żołnierskiej. To też, jak wspomnieliśmy na wstępie, cykl ten stanowi nie tylko pamiętkę narodową, ale posiada wartość artystyczną i historyczną.

Być może, iż nie minęła prawda, przypuszczając, że z tą gromadką artystów współpracował brat Fryderyka Krzysztofa Dietricha, Jan Fryderyk, młodszy odcień o lat 10. Do przypuszczenia tego upoważnia mnie jego lista stanu służby. Był on Komisarzem Komisarjatu Ubiorecznego w randze majora. Urodzony w r. 1811, wstąpił do służby, jako podsekretarz Min. Wojny Księstwa Warszawskiego, 13. X. tegoż roku awansował na sekretarza, 31. XII. 1811 r. mianowany został kontrolerem I klasy w Dyrekcji Generalnej Administracji Wojskowej, 13. XII. 1814 r. przeznaczony w tymże stopniu do Komisarjatu Ubiorecznego Wojska, 18. II 1815 r. mianowany kalkulatorem I klasy z przyrównaniem do stopnia kapitana, 27. VII. 1825 mianowany komisarzem w tymże Komisarjacie z przyrównaniem do stopnia majora, odbył kampanię 1813 r., nagrodzony w r. 1830 odznaką honorową za 20-letnią służbę oficerską. W ciągu rewolucji służył w Komisarjacie Ubiorecznym Wojska. Po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie — jak kończy lista stanu służby — pozostał w Warszawie, ponawiając przysięgę na wierność i pozostał też w Komisarjacie Ubiorecznym do dnia 13. X. 1833 r.

Któż lepiej od niego mógł informować artystów o szczegółach ubiorów wojska?

Zalować należy, że egzemplarz „Wojska Polskiego”, który opisałem, jest niekompletny (brak 6 plansz). Być może, iż znalazłoby się na brakujących planszach jeszcze nazwisko przynajmniej współtwórcy cyklu, jak na pojedynczej planszy nazwisko Chotomskiego.

Egzemplarz był w posiadaniu adw. Jana Maurycyego Kamińskiego, słynnego obrońcy w sprawie Krojańskiej.

Odbity jest na współczesnym papierze angielskim z wodnymi znakami „J. Whaitman Tokkey Mill” z lat 1818 — 1829.

Pod światło

Tvгодніowe wycłnanki

Wiciuś

Akademia Literatury ma nowy kłopot, tym razem naprawdę poważny.

Jakie miło dotąd był! Człowiek się wywczasował, wyspał, najadł. Ludzie szanowali (niewielu wprawdzie było takich, ale zawsze) — jedynym problemem było: — entliczek, pentliczek, dia kogo guziczek, dia kogo wawrzynek? — aż tu nagle z tym Wiciuś.

Prawdziwe utrapienie z tym człowiekiem. Niby poważny, a takie rzeczy wyrabia. Trzeba się będzie zdobyć na męską decyzję i męski czyn. A to wszak takie uciążliwe w tym wieku!

Akademia ma prawdziwy kłopot, akademicy nie mogą sypiać i, co gorsza, tracą apetyt. A jeśli im Wiciuś ramkną?

Isn wienc

W niedzielę ubiegłą odbyły się dwie charakterystyczne uroczystości. W Zakopanem uroczyste otwarcie kolejkę linową na Kasprowy Wierch, a w Krakowie uroczyste otwarcie prof. Szafera — obrońcy Tatr przed bestialstwem „zmotyryzowanej” turystyki. Z walki o piękno gór — w której, jak w tylnych walkach, zwyciężył kapitał — prof. Szafer wyszedł nie z tarcią, lecz — na tarczy, ale za to uwieczniony leśnym wieńcem.

Pornografia

„mas apercepcyjnych”

W ostatnim numerze „Skamandra” znalazł się artykuł p. T. J. Krowickiego p. t. „Pornograficzny utwór literacki”. Autor — jak wynika z artykułu — jest wytrawnym znawcą pornografii, to też i owa rozprawka napisana jest — con amore. Mimo tego nie będziemy się nią jednak bliżej zajmować. Warto natomiast zacytować jedno zdanie.

Czy wiecie państwo co to jest miłość? Wiecie! No to posłuchajcie: „Miłość (jednego indywiduum do drugiego) polega na dyspozycji do interpretacji możliwie wielu rodzajów zjawisk z pomocą układu mas apercepcyjnych, ukonstytuowanego w łożysku pożądanym”.

Ciekawe, co? Do panopticonu niezwykłych wyryków natury (ludzkiego umysłu) przybył jeszcze jeden. „Fachowa”, „filozoficzna” definicja miłości ukuta przez niejakiego p. T. J. Krowickiego.

Jedno wydaje się całkowicie niemal pewne: p. T. J. Krowicki sam dotychczas jeszcze się nie zakochał.

Układ jego „mas apercepcyjnych” nieukonstytuowany w łożysku pożądanym opłanuje mu niekiedy umysł i przyczynia się do powstawania szkiców o pornografii.

wist